

Andrzej Orłoś

Witold Duński

Andrzej Orłoś, Olimpijczyk. Mistrz Polski w Ujeżdżaniu, w Skokach przez Przeszkody, Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. Hodowca. Trener. Działacz Polskiego Związku Jeździeckiego.

Urodził się 16 lutego 1934 roku w Albigowej. Powiat Łańcut, województwo lwowskie. Ojciec Bolesław. Matka Erika z domu Siarkiewicz. Siostra Danuta. Bracia Marcin i Wojciech. Żona Karolina z domu Soja. Córka Elżbieta. Syn Marek. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Kierownik Zakładu Treningowego w Kwidzynie. Zastępca dyrektora Stadniny Koni w Płękitach. Inspektor Hodowli Koni Zjednoczenia Hodowli Koni na Polskę Północną. Dyrektor Stadniny Koni w Kadynach i Rzecnej. Zawodnik Ludowego Klubu Sportowego w Kwidzynie.

Historia Polski wyznaczała miejsce inżyniera wśród koni swoimi bolesnymi punktami, zakrętami, cierpieniem.

Kiedy ojciec, Bolesław, hodowca koni w Albigowej, majątku należącym do Ordynacji Potockich, został w styczniu 1945 roku wywieziony na Syberię, jedenastoletni Andrzej, wozem zaprzęgniętym w parę koni pracował. Zwoził snopki żyta i pszenicy do stodoły w gospodarstwie Władysława i Marii Albigowskich, orał ziemię, bronował, kosił trawę, zboże.

Albigowscy mieli, oprócz dwudziestu pięciu hektarów ziemi, warsztaty wikliniarskie. Meble, z ich wikliny, były wystawiane nawet w Wiedniu. Andrzej poznawał sztukę plecenia koszyków, w rodzinie, która była dobra i przygarnęła w swoim domu Orłosiów, matkę Erikę, córkę generała Filipa Siarkiewicza, Inspektora Remontu Koni w Ministerstwie Spraw Wojskowych, wybitnego hodowcy koni w Albigowej, z czwórką dzieci, babcią Zofią i gosposią.

Gdy znaleźli się w Warszawie, ukończył Liceum Ogólnokształcące imienia Stanisława Staszica. Na studia zootechniczne w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego nie dostał się. Bolesław Orłoś nie dał synowi dobrego pochodzenia klasowego. Był rok 1951. Czekał na egzaminy w następnym roku, pracował. Od 1948 roku zaczął jeździć konno na Służewcu w stajni Mariana Michalskiego. Opinię miał dobrą. Siadał przecież w siodle już w latach szkolnej nauki w Liceum Staszica i wcześniej w Albigowej. Przed dzwonkiem szkolnym, rozpoczynającym lekcje w liceum, galopował na trzech, czterech koniach. Potrafił utrzymać nawet ciągnącego Dekantera, syna Skarba używanego jako ogiera w Stadninach Półkrwi w Płękitach, Kroplewie. Dawał sobie radę i z Batalionem, koniem złośliwym, chwytającym jeźdźca zębami, po to, by go ściągnąć na ziemię ze swojego grzbietu.

– Pasjonowałem się takimi końmi, powiedział inżynier Andrzej Orłoś jesienią 2001 roku w Stadninie Koni Rzeczna. Pchałem się do ich poskramiania.

Jako jeździec amator, nie miał prawa dosiadać koni na wyścigach. By ten przepis ominąć, postanowił zostać chłopcem stajennym.



Historia Polski wyznaczała miejsce inżyniera, hodowcy, wśród koni swoimi bolesnymi punktami, zakrętami, cierpieniem.
Andrzej Orłoś z koniem Bao Day.

– Był to cios w serce mojej matki, która widziała mnie w biurze i bała się, że syn się zdeklasuje. Ojciec wrócił z Syberii w listopadzie 1947 roku, pracował już na Torze Wyścigowym na Służewcu, z którym rozumiałem się bez słów, spytany, co mam robić odpowiedział:

– Od koni nigdy bym w życiu nie odszedł.

To mi wystarczyło. Pierwszego września 1951 roku zacząłem pracować w stajniach na Służewcu. Pierwszą była stajnia pana Pasternaka. Po roku mogłem już wystąpić w Sopocie w wyścigach płotowych i z przeszkodami.

Nie trwało to długo. W sierpniu 1952 roku, w trakcie naskakiwania konia do wyścigu płotowego, na Batorze, dostał kopytem innego konia w twarz. Po upadku leżał na ziemi. Złamany nos, łuk oczodołowy, dolna i górna szczeka. Do tego koń stanął mu dwoma nogami na piersi i nogę. Dwa miesiące szpitala. Ślady na zawsze.

– Po dwóch miesiącach wróciłem na tor. Wiedziałem jednak już, że dżokejem, z moim wzrostem sto osiemdziesiąt centymetrów i naturalną wagą siedemdziesiąt pięć kilogramów, nie będę. Na wadze, przed jazdą, musiałem mieć razem z siodłem sześćdziesiąt trzy kilogramy. Nie mogłem jeść. Musiałem biegać. Torturować się w saunie. Wyczerpanego koledzy podsadzali na siodło.

Dzięki ojcu znalazłem się w Zakładzie Treningowym Koni w Kwidzynie, kierowanym przez majora Leona Kona. Był piętnasty października 1952 roku. Wtedy zaczął się mój sport. Dostałem konia Dariusz, półkrwi. Wydawało mi się, że jestem już jeźdźcem doskonałym. Bardzo się myliłem. W treningu sportowym nie spadałem z konia jak ulęgałka. Do sportowej przeciętności było mi jednak daleko. Dzięki niesamowitej cierpliwości majora Leona Kona, po dwóch latach pracy mogłem wystąpić w pierwszych poważnych zawodach sportowych. Zaczęło się od Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego. Ponieważ umiałem już jako tako czytać i pisać, to po trzech latach awansowałem na asystenta Majora. To był olbrzymi zaszczyt. Przepracowałem z majorem Konem wiele lat, najpierw jako masztalerz, asystent, a w końcu jego następcą w Kwidzynie.

Od majora Leona Kona uczyłem się ujeżdżenia konia. Tłumaczył, że podstawowymi pomocami w prowadzeniu konia są nie ostroga i bat, ale łydka, prawidłowy dosiad i czuła ręka. Kon był człowiekiem spokojnym, ale czasami wypluwał sobie w krzyku na mnie swoje schorowane płuca. Od tamtego czasu przyjaciele twierdzą, że krzyczę na zawodników tak jak Kon. A wrogowie, że potrafię jedynie wrzeszczeć. Pod kierunkiem majora Leona Kona zdobyłem mistrzostwa Polski, medale we wszystkich konkurencjach, on przygotowywał mnie do Igrzysk Olimpijskich w Rzymie w 1960 roku, tak jak i innych jeźdźców. Myślę, że najcenniejsze co wyniosłem ze szkoły Kona, to umiejętność uzasadniania tego, co w jeździectwie robiłem.

Igrzyska Olimpijskie

W Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego:

Rzym 25 sierpnia – 11 września 1960 – siedemnaste miejsce na Klarysie.

Mistrzostwa Europy

W Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego:

Harewood, Anglia 2 – 5 września 1959 – czwarte miejsce na Krokoszu, wspólnie z Marianem Babireckim na Volcie, Andrzejem Kobylńskim na Wolborzu, Markiem Roszczynialskim na Ariolu.

Moskwa, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich 7 – 12 września 1965 – nie ukończył crossu na Dysprozie.

Mistrzostwa Polski

W Ujeżdżeniu:

Poznań 2 – 5 października 1959 – brązowy medal na Krokoszu.

Wrocław 6 – 7 października 1960 – brązowy medal na Botwidzie.

Koszalin 8 – 16 września 1961 – złoty medal na Botwidzie.

Olsztyn 22 – 26 sierpnia 1962 – srebrny medal na Botwidzie.

W Skokach przez Przeszkody:

Gniezno 23 – 27 września 1964 – złoty medal na Bao Day.

W Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego:

Sieraków Wielkopolski 23 – 25 października 1959 – złoty medal na Krokoszu.

Łobez 11 – 14 października 1962 – srebrny medal na Klarysie.

Łobez 15 – 18 października 1964 – srebrny medal na Dysprozie.



Dwudzieste Mistrzostwa Polski w Skokach przez Przeszkody w Gnieźnie w 1964 roku. Za zwycięstwo nagroda dla Andrzeja Orłosa i jego kochanego konia Bao Day wręczana przez inżyniera Michała Rudowskiego, przyjaciela.

- W Zakładzie Treningowym Ogierów w Kwidzynie, który objąłem po majorze Leonie Konie, zajęcia sportowe prowadził wspaniały jeździec sprzed 1939 roku porucznik Władysław Tomaszewski, doskonały nauczyciel jeźdźców w Stadninie Koni w Racocie, później dyrektor Stada Ogierów w Łącku

i trener jeźdźców w pięcioboju nowoczesnym, także przed Igrzyskami Olimpijskim w Moskwie w 1980 roku.

W latach sześćdziesiątych zaproponowano Andrzejowi Orłosiowi przeniesienie się do Poznania i prowadzenie treningów sportowych. Odmówił.

– Koń nigdy nie był dla mnie maszyną sportową, ale zwierzęciem, które należy hodować, kochać, szanować. Wychowałem się w Stadninie, byłem przy rodzeniu się źrebiąt, przy wszystkich zabiegach pielęgnacyjnych i zawsze chciałem mieć kontakt z klaczą-matką, jej dzieckiem-żrebakiem, pastwiskiem. Dlatego zostałem w Kwidzynie aż do 1967 roku, w którym umarła moja matka, bolejąca zawsze nad tym, że dzieciom nie może ofiarować żadnego wiana. W tym roku otrzymałem w Ministerstwie Rolnictwa propozycję wyjazdu do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Miałem pracować z końmi czystej krwi kupowanych w Stadninie Janowa Podlaskiego, przez Leona Rubina, który oprócz koni sprowadzał z Polski szynki i inne produkty mięsne. Leon Rubin był milionerem i nikt jego życzeniom w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej oprzeć się nie mógł, powiedział Andrzej Orłoś.

Wyjazd do Stanów nie był Andrzejowi Orłosiowi na rękę. Pracował i studiował zaocznie w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie. Dyplom inżyniera rolnictwa uzyskał już po powrocie ze Stanów w 1968 roku. Konie do Stanów popłynęły statkiem: Andrzej Orłoś spotkał się z nimi po locie samolotem w porcie Nowego Jorku. Wspólnie znaleźli się na Sir William Farm koło Albany, stolicy stanu Nowy Jork.

Na farmie, oprócz dwustu pięćdziesięciu krów, kilku kuców i świń nic nie było. W trzy miesiące, według projektu Orłosa, zbudowano stajnie, ogrodzono pastwiska. Umieszczono w nich siedem klaczy i ogiera. Przez dwanaście miesięcy pielęgnował konie arabskie, jeździł z nimi na pokazy od Nowego Jorku po Arizone. Wrócił ze Stanów po roku. Jak chciał, chociaż Leon Rabin starał się przedłużyć jego pobyt. Odwiedzał Amerykę jeszcze parę razy. Zakład Treningowy w Kwidzynie był jednak ważniejszy.

W 1970 roku dyrektor Zjednoczenia Hodowli Zarodowej na Polskę Północną, z siedzibą w Sopocie, Kazimierz Szymański, przeniósł Andrzeja Orłosa na zastępcę dyrektora Ryszarda Witoszyńskiego Stadniny Koni w Płękitach koło Ostródy. Sam bezpartyjny radził Orłosiowi wstąpienie do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, co otwierało drogę do stanowisk dyrektorskich. Odmówił. Powiedział, że może być stajennym, masztalerzem, ale przekonań religijnych i politycznych nie zmieni. Dodał jeszcze, że rodzina ma co jeść, on chce być przy koniach, a nie siedzieć w dyrektorskim fotelu. Był zachwycony swoją pracą w Płękitach. Ojciec, Bolesław Orłoś nie. Widział w Stadninie bałagan, brak słomy dla koni, siana, niezbiране na czas zboże, cierpiał bardzo z powodu miejsca, w którym kochany syn się znalazł.

– Dwudziestego czwartego czerwca 1972 roku umiera mój ojciec. Niedaleko Płękit. Pochowaliśmy go na cmentarzu w Warszawie. Wierzę, że ręka ojca wyciągnęła się do mnie z nieba. Dwudziestego dziewiątego czerwca przyjeżdża do Płękit inżynier Adam Sosnowski, będący wówczas Inspektorem Hodowli Koni w naszym Zjednoczeniu w Sopocie. Usiadł przy biurku i powiedział, że mam zostać jego następcą. On jedzie do Warszawy, gdzie obejmie stanowisko Naczelnika Hodowli Zwierząt Zarodowych w całym kraju. Nogi się pode mną ugięły. Adam w hodowli uczył mnie wszystkiego. Był dla mnie wzorem i nagle mam robić to co on?! Przecież bardziej doświadczeni byli Ludwik Pietrzyk ze Stadniny Koni w Rzecnej, doktor Jacek Pacyński kierujący największą stadniną mazurską w Liskach! I oto ja, młodszy od nich, z mniejszym dorobkiem hodowlanym mam być Inspektorem Stadnin i Stad w Polsce Północnej, a zatem w ich miejscach pracy. Adam Sosnowski nie słuchał moich protestów. Podał mi rękę i powiedział:

„Powodzenia w nowej roli”.

Inspektorem Hodowli Koni w Polsce Północnej Andrzej Orłoś był dwadzieścia pięć lat.



Jeździec Andrzej Orłoś na Bristolu w steeplu Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego w 1970 roku, w Stadninie Koni w Kadynach.

Przez ten czas działał społecznie w Polskim Związku Jeździeckim. Od 1976 roku wiceprezes tego Związku, przewodniczący Komisji Sportowej od 1974 roku, członek Komisji Sportowej Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego Europejskiej Federacji Jeździeckiej w latach 1975 – 1978, sędzia międzynarodowy w Ujeżdżeniu i Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego, trener Polskiego Związku Jeździeckiego, Ludowego Jeździeckiego Klubu Sportowego w Sopocie, przygotowywał skoczków do międzynarodowych zawodów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Był wszędzie, robił prawie wszystko. Przygotowywał reprezentację narodową do Igrzysk Olimpijskich w Moskwie w 1980 roku Tam przeżył klęskę swoich jeźdźców i koni. Tak wspomina Igrzyska w Moskwie.

– Po Ujeżdżeniu, pierwszej konkurencji Wszechstronnego Konkursu Konia Wierzchowego, prowadziliśmy drużynowo i indywidualnie, Jacek Wierzchowiecki na Bastionie, Jacek Daniluk na Lnie, Mirosław Szłapka na Erywaniu. Dziesiąty był Stanisław Jasiński na Hangarze. Dwudziestego siódmego lipca był cross. Diabelny cross. Nad polem wiatr przynosił ściany deszczu. Woda i glina. Nie było piasku jak na treningach w Białym Borze.

Erywań już na drugiej przeszkodzie odmówił wykonania skoku. Po trzecim najeździe upadł. Mirek

dojechał jednak do mety i był dobry, chociaż kolejne punkty karne zebrał przy skoku w rzeczkę. Daniluk na Lnie galopował bez błędów do ósmej przeszkody, do rowu z podwójnym zygzakiem z drągów. Koń przed belką poślizgnął się, nie odbił do długiego skoku i wpadł w pułapkę. Przeszkoda była solidna, dobrze zbita gwoździami i żołnierze nie mogli jej szybko rozwalić. Len tkwił w niej więcej niż pół godziny. Nie złamał nogi, nie zdarł skóry na grzbiecie. Czekał cierpliwie, aż ludzie mu pomogą. W walce przestał się liczyć. Los drużyny nie został jednak jeszcze przesądzony. W siodłach, pełni wiary, siedzieli Jasiński i Wierzchowiecki. Hangar i Bastion.

Taki widok może się zjawić tylko w ponurym śnie. Jedzie Jasiński. Przeszkoda ustawiona na skłonie krótkiej skarpy. Hangar, koń z sercem lwa. I oto dochodzi trzy razy do przeszkody i trzy razy staje. Pięć lat treningu nie będzie nagrodzone olimpijskim medalem. Polska drużyna jest rozbita. Ciężar odpowiedzialności rzucony na plecy Staszka jakby go przytłoczył paraliż woli? Czy Hangar wyczuł wahnięcie się jeźdźca? Hangar, szlachetny koń, z gorącą angielską krwią, prędzej się zabije niż zatrzyma przed przeszkodą. Kiedy zespół przestał istnieć, nadzieja na medal była w Jacku Wierzchowieckim, Olimpijczyku z Monachium w 1972 roku. Bastion duży, silny, ale dobry nie na glinę. Bastion skacze z długiego lotu, potrzebuje twardego podłoża, z którego odbije się wysoko i daleko.

Na tej samej przeszkodzie, na której skończył się Hangar, Bastion się poślizgnął. To był żalony widok. Koń zawieszony na brzuchu kilkanaście centymetrów nad ziemią. Koń przebiera nogami. Jeździec szamocze się na nim bezradnie. Doktor Adam Wąsowski, Jasiński, wszyscy Polacy rzucili się na ratunek. Nie pobiegłem. Kordon porządkowych był jak kremlowski mur. Nie do przebycia. Mogłem tylko patrzeć w niebo. Zza chmur pokazało się słońce.

Ten cross był dla mnie wstrząsem. Ślad po nim zostanie na zawsze. Jest rozgoryczenie, żal, że nie poczekano z crossem na dzień aż będzie sucho, bez deszczu. W XXII Igrzyskach Olimpijskich zmagaliśmy się z deszczem, błotem, gliną i ludzkim lenistwem.

Spotykałem się z zarzutami, że cross jest bezlitosnym zabijaniem koni. Jest to pogląd skrajny i nieuzasadniony. Kiedy jednak wspominam Igrzyska w Moskwie, to muszę przyznać, że nie byliśmy w porządku wobec koni, zmuszając je do spełnienia ofiary szarpiącej nerwy i niszczącej cały organizm. Każde poświęcenie powinno mieć swoją granicę. Konie potrafią być ofiarnie, szczególnie konie szlachetnej krwi, najlepiej galopujące. Tego wykorzystywać się nie powinno.

Statystyka jest sucha i dokładna. Spośród dwudziestu ośmiu koni, dwadzieścia sześć leżało w glinie crossu. Dwóch jeźdźców z reprezentacji Bułgarii i Indii odwieziono do szpitala. W Moskwie naruszono dziesięć przepisów Międzynarodowej Federacji Jeździeckiej.

Te upadki były także następstwem otwartości koni, ich ufności i wiary w rozsądek jeźdźców. Łzy w oczach mieliśmy nie dlatego, że przegraliśmy. Płakałem, bo byłem bezsilny. Nie mogłem nikomu pomóc. Uważam, że działacze Międzynarodowej Federacji Jeździeckiej stchórzyli przed organizatorami zawodów. Powinni odwołać zawody i poczekać na słońce. Jeden dzień. Jeden nieważny dzień.

Andrzej Orłoś nie zostawił sportu po Igrzyskach. Przestał jednak być trenerem kadry w Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego. Prowadził zawodników kadry narodowej w Skokach przez Przeszkody. W klubie jeździeckim w Sopocie był trenerem. Działał w polskim jeździectwie. W 1991 roku, będąc nadal Inspektorem w Zjednoczeniu Hodowli Zwierząt Zarodowych w Sopocie, został komisarycznym Dyrektorem Stadniny Koni w Kadynach. Kiedy ją obejmował, była zadłużona. Dla rolnictwa, hodowli był to zły czas. Przemiany gospodarcze, walka z długami, wymagały żelaznej energii. Stadninę w Kadynach opuszczał, kiedy była na prostej drodze. Przez pół roku pracował jednocześnie w Stadninach Kadyn i Rzeczej, która też tkwiła w długach. Po latach ludzie w Rzeczej powiedzieli, że dla ich Stadniny Orłoś stał się ostatnią deską ratunku.

W Kadynach Orłoś, kiedy był dyrektorem Stadniny, praktycznie w swoich decyzjach hodowlanych

niezależny, wprowadzał doświadczenia hodowlane poznane w Ameryce. Konie miały być i były jak najdłużej na pastwiskach, przez cały dzień i noc, aż do pierwszego śniegu. Tak samo i krowy, szczególnie te ras mięsnych. Jak najmniej koni w stajniach, dużo ruchu. Z Holandii przywożono do Kadyn i Rzeczej zwierzęta na wypas łąkowy. A w czasie wolnym od pracy zawodowej Orłoś prowadził naukę jazdy konnej. Od koni sportowych oderwać się nie może. Był trenerem kadry narodowej Polskiego Związku Jeździeckiego w Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego i w Skokach przez Przeszkody.

Ostatnią pracę zawodową zaczynał w Stadninie Koni w Rzeczej, w 1998 roku Ukończył ją przejściem na emeryturę w 2006 roku Emerytem jednak nie został. Uwolniony od codziennych obowiązków zajął się końmi w Januszewie koło Susza.

W 2006 roku Olimpijczyk Andrzej Orłoś powiedział: – Nareszcie mam dość czasu, by znów prowadzić życie w siodle!

W Polskim Jeździectwie i w Polskiej Hodowli Koni Andrzej Orłoś jest człowiekiem nieprzeciętnym, wszechstronnym, pracowitym aż do bólu. Ten ból przypłacił w 1993 roku ciężkim zawałem serca. Po odzyskaniu energii, uciekł ze Szpitala Wojewódzkiego w Elblągu do swoich koni w Kadynach.

W sierpniu 2008 roku wsiadł w Januszewie na konia, by pokazać dziewczynie jak można na krnąbrnym zwierzęciu skakać. Upadł. Uszkodzona czaszka, wylew krwi do mózgu. Operacja w szpitalu w Olsztynie. Rehabilitacja. Zaczął walczyć o życie.

W grudniu 2008 roku miał jeszcze sparaliżowaną połowę ciała.